

PATROL

Czesław Białczyński

Przemierzam swój sektor w regularnych odstępach czasu. Mniej więcej sześćdziesiąt minut mija od jednego nawrotu do drugiego. To monotonna praca, choć może kogo innego znużyłaby jeszcze bardziej niż mnie. Odkąd zaczęła się wojna, moje stanowisko jest jednym z ważniejszych, ale oczywiście nie najważniejszym. Takich jak ja są setki, a przecież działania toczą się także na lądzie i w powietrzu, gdzie niezliczone zastępy ludzi wykonują pracę podobną do mojej.

Kim jestem? Jak się nazywam? Czy to ważne? Mam swój numer ewidencyjny, przydział sprzętu przypisany do tego numeru i swój sektor. Niewielki, ale i nie mały sześcian przestrzeni, w sam raz na moje możliwości. Oprócz patrolowania mam też inne obowiązki. Podlega mi osiemnaście stanowisk rakiet, rozmieszczonych wzdłuż trasy. Każde z nich ma swój czerwony przycisk i urządzenie celownicze. Znam ten przycisk na pamięć. Mógłbym uruchomić wyrzutnie przez sen, po omacku, gdyby zaszła potrzeba.

Na razie jednak obce statki nie pokazują się. Nie muszę z łomotem serca spieszyć ku szaremu, spiczastemu cieniowi raketowego stanowiska, choć robiłem to już nieraz.

Pytacie, czy nie miewam wyrzutów sumienia w związku z tym, że zdarzało mi się niszczyć nieprzyjacielskie okręty? Nie, nie mam. Mimo że w wyobraźni widzę tę rzeź, jaka się rozgrywa po moim wystrzale, rozerwane burty, poranionych, duszących się ludzi, którzy za wszelką cenę usiłują się ratować, ale nim zdążą pojąć, co się stało, już zgniata ich i rozrywa ciśnienie. Potem nieraz zbliżałem się do wraków, by popatrzeć na szczątki, metalowe, powyginane burty, rozprute i nadtopione

od wysokiej temperatury, która wytwarza się w zetknięciu z obcą masą metalowego pocisku.

Może jednak powiem coś o sobie, coś bliższego, co pozwoliłoby wam zachować mnie dłużej w pamięci. Nie wiem zresztą, czy posiadam jakiś charakterystyczny znak, przeżycie odmienne niż moi współtowarzysze, chyba tylko z dzieciństwa. Dzieciństwo pamiętam jak przez mgłę. Ojciec wcześniej porzucił moją matkę, potem czasem usiłował nawiązać ze mną bliższy kontakt, ale matka nie pozwalała mu na to. Widać uważała, że tak lepiej. Urodziłem się na wyspie w pobliżu Nowej Kaledonii, ale tego nie pamiętam. Z tamtych czasów pamiętam jedynie ciepło Pacyfiku w bezchmurne noce i długie, nie kończące się połowania na rekiny, kiedy otaczaliśmy je zwartą grupą, naganając w zastawione pułapki. I to wszystko.

Wielkim szokiem była dla mnie podróż tutaj, na Zachodnie Wybrzeże. Byłem jeszcze młody i nie wyobrażałem sobie, że świat jest taki wielki. Wystraszyły mnie porty, lotniska przepojone smrodem benzyny, pełne hałasu odrzutowców, lądujących i startujących niemal bez przerwy. Walpole to był cichy, spokojny skrawek ziemi, dopóki nie zaczęła się wojna. Właśnie, wojna.

Pewnie chcielibyście się dowiedzieć, o co w niej chodzi? Kto się z kim bije i o co? Zastanówcie się. Czy taka wiedza pomoże wam w czymś, coś wam da? Zawsze o coś komuś chodzi i jeden występuje przeciw drugiemu. Dla mnie zupełnie obojętne jest, jak to się skończy, i przyznam się, że w ogóle nie interesują mnie frontowe komunikaty. Mam swoje zadanie, swój cel i swoje miejsce w tej wojnie. Moim zadaniem jest nacisnąć spust, gdy zbliży

się obcy statek, aha, a przedtem mam jeszcze bezbłędnie rozpoznać, czy rzeczywiście jest obcy. Niektóre z okrętów wroga są bardzo podobne do naszych, a czasem nawet identyczne. Wtedy włączam echolokator, za pomocą niego mogę bezbłędnie odróżnić obcy obiekt od swojego. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego ani nawet żadnej technicznej rewelacji. Po prostu nasze statki mają wbudowany w burtę kawałek metalu o specjalnej proporcji składników. Ten stop mój echolokator rozpoznaje na odległość kilometrów.

Więc to by było tyle. Rozpoznać i zniszczyć. Aha, i jeszcze potem sprawdzić dla wszelkiej pewności. Reszta mnie nie obchodzi.

Nie jeden z was zada sobie teraz pytanie, któż to może być taki obojętny, pozbawiony skrupułów i wyrzutów sumienia? Nie chcę wam stwarzać zagadek. I chciałbym uniknąć nieporozumienia. Nie jestem robotem, bezduśnym automatem ani niczym takim. Jak już wcześniej wspomniałem, urodziłem się, i to jest chyba wystarczająca rekomendacja. Na imię mam Mal, właściwie to nie jest moje prawdziwe imię, ale tak wołali na mnie wszyscy w Ośrodku Szkolenia Kadr w San Francisco. W pełnym brzmieniu nazywam się Malin Troi. Całkiem niezłe.

Dlaczego przyjąłem tę nudną pracę? Cóż, każdy w tej wojnie musi coś robić, a ja, prawdę mówiąc, nie miałem zbyt wielkiego wyboru. Oczywiście, mogłem odmówić, ale widziałem wcześniej takich, którzy odmówili. Wrzucano ich do basenów, aż utworzyły się z ich ciał olbrzymie przyny, a woda występowała z brzegów. Mieli głowy podziurawione jak sita. Na sam widok dostawałem dreszczy. Gdy zobaczyłem to pierwszy raz, wpadłem w panikę. Zacząłem uciekać bez sensu i bez celu, choć nie było dokąd, bo już znajdowałem się w Ośrodku. Potem się przyzwyczaiłem.

Lubię wodę. Zawsze lubiłem wodę. Mogę powiedzieć, że była moim żywiołem już od czasu tamtych polowań na rekiny, a i wcześniej pewnie też. Przyjąłem więc tę pracę i teraz patroluję swój odcinek oceanu płynąc od boi do boi. Nie spieszę się, podziwiam podwodne pejzaże i czuwam nad sprawnością wyrzutni i spokojem wybrzeża. Możecie być pewni, że

przez mój sektor nie przedostanie się żaden wrogi okręt. Byłem jednym z najlepszych i najsprawniejszych uczniów. Wykonywałem rozkazy gorliwie i nie trzeba było dwa razy mi ich powtarzać. Woląłem nie narażać się na kary. Może ktoś z was postąpiłby inaczej, choćby jak ci zwalani stosami do basenów. Chyba nie jestem najodważniejszym z odważnych, ale przecież tak niewielu rodzi się nieustraszonych. A poza tym, jaką wartość ma dzisiaj odwaga, chyba przyznacie, że w tej wojnie jeszcze się nikomu na nic nie przydała.

Byłem dobrym rekrutem, a teraz jestem dobrym żołnierzem. Kim będę potem? Nie wiem. Wojna przedłuża się, i kto wie, czy nie przetrwam na tym stanowisku do końca swoich dni? Może nie będę miał szczęścia i wychwycą mnie nieprzyjacielskie sonary. To się zdarza i jestem na to przygotowany.

Jest chyba jeszcze jedna sprawa, którą powinienem wyjaśnić. Uważacie mnie pewnie za bėzideowca, najgorszego najemnika, skoro nie interesuje mnie cel wojny ani to, która ze stron w końcu zwycięży, ani ilu ludzi polegnie. Wiercie mi, że to nieporozumienie. Oczywiście, że w moim przypadku nie można powiedzieć, aby kierowała mną jakakolwiek idea. Nie robię tego nawet dla pieniędzy. Ja po prostu niczego innego nie potrafię. Tego mnie wyuczono i tutaj czuję się potrzebny. Zawsze chciałem być użyteczny. Jeszcze na wschodnim Pacyfiku, jako całkiem młody osobnik, przypatrywałem się z daleka przepływającym statkom handlowym i okrętom. Podpływałem do nich blisko, tak blisko, jak tylko się dało, i towarzyszyłem im przez długie mile, ciesząc się z machających do mnie dłoni i z roześmianych twarzy, ogorzałych od słońca.

Robię to, bo chcę służyć ludziom. Od kiedy odłowiono mnie od stada, chcę służyć im najlepiej, jak umiem. Nic więcej. Robię to... Zresztą, co wam będę tłumaczył. W tej wojnie każdy musi coś robić. Może gdyby był pokój, miałbym inne zajęcia...

Uwaga... coś naruszyło mój sektor! Muszę przerwać. Do najbliższego stanowiska rakiet jest około pięćset metrów. Trzeba dobrze wyciągać pletwy, żeby zdążyć. Nie mogę przecież was zawieść. Jestem dobrym żołnierzem.